

Samotna wyprawa zabytkowym motocyklem na Syberię, czyli jak tu nie wierzyć w przesąd.

Prolog

Lidzbark Warmiński, 20. sierpnia 2003 roku.

Tu skończył się mój wyjazd do Irkucka. Przed wyjazdem popełniłem błąd, prosząc „fachowca„ o regulację gaźników. Wysłałem mu oba tłoki z wtopionymi pierścieniami....

Część pierwsza – Europa.

Sierpień 2004, trzynastego, piątek.

Większość znajomych na wieść o tym, że właśnie dzisiaj wyjeżdżam rozglądała się za czarnym kotem itp. Ja nie jestem przesądny, chociaż z reguły w piątki trzynastego szczęście mi sprzyjało (szkoda, że w takie dni nie ma losowania Dużego Lotka). Przed wyjazdem coś „klekotało” w sprzęgle, ale wszyscy mi mówili, że to pikuś.

Jadę. Jest 5.13 rano, jeszcze ciemno, wszystko już wczoraj spakowałem. Dopiero w momencie sznurowania butów dotarło do mnie, że NAPRAWDĘ JADĘ !!!



Od Pasłęka zaczęły się problemy ze sprzęgłem i bezpiecznikami, coś nie tak ze stacyjką. Przejżdżając przez Lidzbark Warmiński powiedziałem sobie, że się nie zatrzymuję – nie chcę skończyć tak, jak w zeszłym roku.

Jadę przez Litwę i Łotwę, na granicy z Rosją tracę tylko 60 minut!! (TIRY dwie doby, osobowe 6-8 godzin)- warto było uczyć się rosyjskiego gorzej ze sprzęgłem i stacyjką. Jest niedzielny wieczór, gdy jadę obwodnicą Moskwy. "Moje" kalco, to 5-6 pasów ruchu, wszystko zatłkane, bo mieszkańcy stolicy Rosji wracają z dacz. Jadę sobie grzecznie prawym pasem i tylko czasami czuję, jak włosy stają mi dęba, gdy super fury z ciemnymi szybami wyprzedzają mnie z prawej strony jadąc z pełną szybkością (160 – 180 km/godz) pasem awaryjnym.

Sprzęgło zupełnie się „sypló”, więc gdy tuż przed zjazdem na Władymir jest korek muszę stanąć (ale nie na pasie awaryjnym!) i odczekać 2 godziny. Namiot rozbijam tuż za Moskwą na stacji benzynowej przy świetle czołówki. Jestem przeszło 1600 kilometrów od domu. Dwie godziny różnicy czasu.

W Kazaniu postanowiłem naprawić sprzęgło. W pierwszym napotkanym warsztacie samochodowym powiedziano mi, że motocykliści spotykają się w Parku Gorkiego. Trzeba tylko przejechać (bez sprzęgła) przez całe miasto (ponad milion mieszkańców), większość skrzyżowań ze światłami, bez synchronizacji... W połowie drogi zatrzymuje mnie młody człowiek w starej Ladzie i pyta czy może mi pomóc. Oprócz Lady ma skuter i kumpla, który jeździ na Rusku.

Na chopperze zrobionym z Emki, z bandaną na głowie pełno liter A (to od „Anarchy”) zamiast kasku, w skórze, nadlatuje Dima.



Po 10 minutach rozmowy ustalono:

1. Motorek będzie robiony u niego w garażu jutro rano,
2. Nocuję u Dimy
3. Wieczorem idziemy na wycieczkę po Kazaniu.



Jest jeden minusik. Trzeba przejechać przez całe miasto. Jest godzina szczytu, stare Lady i Ziły walczą z nowymi BMW i Mesiami, światła nadal bez synchronizacji, żar leje się z nieba, sprzęgło bez zmian. Łamię wszelkie możliwe przepisy (wiadomo-Anarchy + brak sprzęgła), ale bez wrzasków i innych "przyjaznych" gestów ze strony samochodziarzy docieramy do garażu. Tam zostawiam motorek, na plecy-plecak, do prawej ręki ciężka torba i statyw, lewa ręka trzymam się Dimy.

I tak, bez kasku na głowie, z prawicą dłuższą o około 10 cm, z kością ogonową obita na tylnym mikro-siodełku (wiadomo -chopper), z muchami na zębach i dzikim błyskiem w oku oraz dwoma litrami piwa trafiam do mieszkania Dimy. Po drodze dowiedziałem się, co znaczy Anarchy w wykonaniu rosyjskiego bikera ... Wow! Wieczorem „gulamy„ po Kazaniu.

Trafiam na plac, na którym spotykają się miejscowi motocykliści. Jest wszystko, co lata na dwóch kółkach, w tle ścigają się na 100 metrach stuningowane samochody (na 150 metrze jest baaardzo gruby mur...) Totalny odlot!!! Przy okazji porozmawiałem sobie trochę po... polsku (!) jeden z bikerów siedział trzy lata w greckim więzieniu z Polakami...



Następnego dnia ruszam dalej. Niektóre podjazdy w Górach Uralu ciągną się kilometrami przy wzniesieniach 15 %!!! Cały czas wieje ciepły, zachodni wiatr więc jest O.K. Dopiero wysoko w górach pogoda się psuje; deszcz, chłodno, pojawia się błoto. I brak zasięgu w komórce. Jest siódmy dzień wyprawy. Docieram do granicy z Azją, 3368,2 kilometrów od domu...

Część druga – Azja

Wczoraj wieczorem przekonałem się po raz kolejny, że piątek trzynastego jest dla mnie szczęśliwą datą. Linka hamulca przedniego (jedyne, który działa na 99%) zerwała się na postoju. Czasami podczas zjazdów osiągam prędkość 90-100 km\godz, trzeba czasami wyhamować do zera, bo nagle w gładkiej do tej pory jezdni pojawia się głęboka dziura lub rów...



Obelisk na granicy z Azja jest zniszczony, wokół pracują buldożery wielkości malej kamienicy, trwa przebudowa drogi. Nadal pada, jest zimno, w dodatku szlag trafił łożyska tylnego koła.

W Czelabinsku zatrzymuje mnie spasio BMW z lustrzanymi (!!!) szybami; dwóch facetów o odpowiednim wyglądzie i budowie ciała nie może wyjść z podziwu, że odważyłem się jechać do Irkucka tak starym motocyklem i to samotnie. ”- Przecież to może być niebezpieczne!”- koniec cytatu. I tak sobie gawędzimy. Po około 20 minutach mały konwój (nadleciało jeszcze jedno takie BMW i dwa terenowe Lexusy z podobną zawartością) jedzie ze mną do faceta, który kolekcjonuje stare samochody. Cztery Willysy z US Army z czasów II wojny, Ford T, Pabiedy i inne. Większość odrestaurowana, jeżdżąca, część w robocie. Jemy obiadek, robią mi fotki, na do widzenia robimy sobie po „niedźwiadku”, (a właściwie po „niedźwiedziu”) i jadę sobie dalej.

Dziesiątego dnia wieczorem jestem w Nowosybirsku. Tablica świetlna pokazuje 9 stopni Celsjusza - plus. W nocy musiało być trochę minus, bo rano namiocik i wszystko wokół było zasznione. Ja nie. Spałem w czapce i rękawiczkach, a na sobie miałem trochę ubranek.

Za Kemerowem spotykam samotną Walijkę, która pieszo idzie wokół świata ja myślałem, że tylko faceci są szaleni... Później spotykam kolejnego rosyjskiego bikera. Jego Ural przerobiony na choppera lśni chromem i niklem, a on sam - złotymi zębami. Za Kanskim zaczyna się droga przez mękę. Czołgałem się momentami z prędkością 5-8 km\godz myśląc, że zgubię wszystkie śruby, o zębach nie wspominając. Rosjanie mają fajne poczucie humoru - na tej drodze umieścili znak ograniczenia prędkości do 70km\godz. "Chłopców Radarowców" nie było. Pada, więc nie ma kurzu (to dobrze), ale jest błoto (to źle).



I tak trafiłem do miejscowości o wdzięcznej nazwie Zima. Po tych przeszło 400 kilometrach przyszła pora na podliczenie strat. Prądnica padła, brak ładowania, stacyjka do wymiany, tylny błotnik pęknięty w trzech miejscach, filtr powietrza dociskam wtłoczoną butelką po pepsi. Błoto jest wszędzie, nawet pod kaskiem. Są plusy: nie mam braków w uzębieniu.

W Zimie brak zasięgu (fajnie to brzmi). Robię wieczorny spacer na pocztę przez błoto i kałuże wielkości małego jeziora. Wchodzę. Pusto... Czekam. Są trzy kabiny telefoniczne z czasów wczesnego Gomułki, za szybą (chyba pancerną?) włączony komputer, ale

samotny. Panienci z okienka niet. Po 20 minutach czekania zaczynam stukać, pukać, w końcu daje z kopa w jedyne drzwi. Zjawia się malowana lala w wieku emerytalnym i każe mi się wynosić. Usiłuję wytłumaczyć, że to przecież Międzynarodnyj Tieliefon, a ona na to, że mam „se” dzwonić z hotelu. Tyle mojego, co „se” walnąłem drzwiami na dobranoc.

Dodzwoniłem się do Polski po 60 minutach upojnego kręcenia tarcza telefonu. Piątek 27 sierpnia, godzina 13.10, w Gdańsku 6.10 rano.

Dojechałem do Irkucka. Widzę wokół pozdrawiających mnie samochodziarzy, uniesione kciuki, słyszę klaksony, ludzie machają do mnie rękami, chyba nie widzą tu na codziennie polskiej rejestracji na motocyklu wyprodukowanym w ZSRR w 1968 roku. Spod prądnicy leje się olej na cały silnik.



Za Ust-Ordinskij, na skraju drogi, w szczerym polu wyjmuję prądnicę, zakładam nowa uszczelkę plus silikon i dalej – kierunek Wierszyna. Do Tichanowki było O.K. Dalej było 15 km takiego błota, które wykończyło zarówno Wielka Armie Napoleona, jak i małego faceta ze śmiesznym wąsikiem.

Błoto rosyjskie jest substancją, której nie umiem opisać. Sądząc po barwie jest w nim dużo związków żelaza. Co do reszty to wiem tylko jedno - zarówno mój motocykl jak i ja sam nie

wyglądaliśmy tak strasznie po wspomnianych wyżej 400 km między Kanskim a Zimą, jak po 15 km między Tichanówką a Wierszyną.



Nie mogłem domyć ani mojej maszyny, ani siebie samego. W końcu, po blisko trzech godzinach pracy i kilkunastu wiadrach wody, przy pomocy patyków, którymi wydłubywałem „to coś” z żeber cylindrów mój motocykl zaczął wynurzać się z bryły błota. Ja tę maź miałem nawet pod kaskiem!

Postanowiłem, że motorek zostanie w Wierszynie do przyszłego roku, a ja niczym panisko wrócę do Polski samolotem.

I znowu, tym razem dzięki życzliwości mieszkańców Wierszyny udało mi się znaleźć pusty garaż, a w niedzielę rano zabrano mnie do Irkucka, gdzie zostałem ugoszczony. Tam przenocowałem, a w poniedziałek udzielono mi pomocy w trakcie walki o bilet do Moskwy i w końcu wieczorem odwieziono mnie samochodem na lotnisko.

Wszystkich ludzi, o których piszę widziałem po raz pierwszy w życiu, a nie żądano ode mnie pieniędzy, nie musiałem błagać o pomoc, nikt na mój widok nie spuszczał psa z łańcucha ani nie sięgał po Kałacha. Oczywiście nie wiem, jak by to się wszystko skończyło, gdybym jechał super Japonią zachowując się tak, jakby cały świat należał do mnie, a każdy tubylec był głupkiem.

Rosja, którą przejechałem w poprzek, spędzając dokładnie dwa tygodnie za kierownica motocykla i pokonując 7300 kilometrów jest krajem niesamowitych ludzi i pięknych

krajobrazów. Jadąc od świtu do zmroku ze średnią prędkością 40-80 km/godz, pokonując od 300 do 680 kilometrów dziennie, miałem możliwość smakowania tego ogromnego kraju praktycznie wszystkimi zmysłami.



Poruszając się Land Cruiserem z prędkością 160 km/godz przy włączonej muzyce techno i klimatyzacji poznałbym Rosję „na niby” tylko od strony super hoteli i restauracji typu McDonald`s.

Ja swój namiot rozbijałem najczęściej na tzw. „Awtostanowkach”, czyli strzeżonych parkingach dla ciężarówek, lub na stacjach benzynowych, a hotele, w których spędziłem w sumie trzy noce nie miałyby szansy nawet na pół gwiazdki.

W przyszłym roku chcę znaleźć w okolicach Irkucka, w Jakucji i Magadanie ślady Polaków, którzy tam żyli i nadal tam żyją.

Epilog

Przeszedłem naprawdę ostrą kontrolę na lotniskach w Irkucku i w Moskwie (leciałem tuż po zamachach na dwa samoloty rosyjskie), ale dopiero na lotnisku w Warszawie, gdy skonany chciałem lecieć do Gdańska, kazano mi zdjąć moje wojskowe „baletki”. Dzwoniły na bramce.

Usiłowałem wytłumaczyć swoją niechęć do ściągania bucików Konwencja Genewska zakazująca stosowania broni chemicznej (nie zdejmowałem butów przez blisko 40 godzin), ale panowie byli nieugięci. Ryzykując życiem innych podróżnych oraz życiem obrońców naszych granic uwolniłem swoje spuchnięte stopy z objęć skórzanych pantofelków. Do Gdańska doleciałem bez opóźnień.

Konrad Dobrzyński